

4 CZERWCA – ZAPOMNIANE ŚWIĘTO

III Rzeczpospolita to państwo, które ma kłopoty z określeniem własnych historycznych korzeni i założycielskich mitów. Widać to szczególnie wyraźnie właśnie teraz, gdy co kilka tygodni obchodzimy kolejne dziesiąte rocznice jakichś historycznych i przełomowych wydarzeń z roku 1989 – zaczęliśmy rocznicą obrad Okrągłego Stołu, niedawno obchodziliśmy rocznicę wyborów 4 czerwca, niedługo przyjdzie czas na rocznicę powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego, a na początku przyszłego roku będziemy podsumowywali dziesięciolecie Planu Balcerowicza. Prawda, każdy historyk powie, że wprowadzanie jasnych cezur i dat granicznych, rozdzielających wartki strumień wydarzeń na wyraźnie zakreślone okresy „przed” i „po” symbolicznym wydarzeniu, to zabieg zawsze sztuczny i podatny na krytykę. A jednak wyobraźnia zbiorowa domaga się zawsze ustalenia jakiegoś szczególnego punktu, jakiegoś wydarzenia o wyjątkowym charakterze, które mogłoby stać się aktem założycielskim nowej formy zbiorowej tożsamości.

Na pozór mogłoby się wydawać, że 4 czerwca jest idealną datą pozwalającą ustanowić punkt graniczny. Gdy jednak wybierano święta państwowe III Rzeczypospolitej, wolano przywrócić przedwojenną datę 11 listopada, niż odwołać się do niedawnych wydarzeń. Wspomnienie wyborów z 1989 roku sprawiało już wtedy pewną trudność, ponieważ jednoznaczny wybór tej właśnie daty za akt założycielski nowej polskiej „Rzeczy wspólnej”, przesądzałby o wyborze pewnej wizji naszej zbiorowej pamięci. W jej ramach jednym przypadłaby rola zwycięzców, innym – pokonanych. Tymczasem kamieniem węgielnym III Rzeczypospolitej stała się idea kompromisu, której ucieleśnieniem stał się Okrągły Stół. Jej obrońcy zauważają, że wpisana jest ona w instytucję demokracji, zatem jeśli nowe polskie państwo miało być demokratyczne, siłą rzeczy nie mogło wykluczać żadnej ze stron wcześniejszych konfliktów. To prawda, jednak ceną, jaką po dziś dzień płacimy za ten wybór, jest konflikt pamięci o momencie historycznego zwycięstwa i o szarej codzienności kompromisu, który

przesłonił radość z tego zwycięstwa; konflikt żywiołowych uczuć i rozumu.

Polityczny establishment instynktownie wybiera raczej rocznicę Okrągłego Stołu. To on stał się symbolem „polskiej drogi” do demokracji, którą potem powieliło wiele innych krajów. Odrzucenie przemocy, choćby symbolicznej, pokojowa droga przemian, negocjacje a nie walka – i przede wszystkim gotowość do wypracowania kompromisu, to treść przesłania Okrągłego Stołu. Sposób, w jaki przy nim pracowano, sprawia dodatkowo, iż w oczach polityków właśnie to wydarzenie z całego ciągu historycznych wydarzeń 1989 roku nadaje się na szczególne wyróżnienie – gabinetowy, często nawet zakulisowy charakter negocjacji zbliżony jest do charakteru pracy profesjonalnych polityków wykonujących swój zawód w ramach instytucji parlamentarnej demokracji. I wreszcie – legenda Okrągłego Stołu ma charakter inkluzyjny – nie pozostawia na marginesie postkomunistów. Nie są oni w tym wypadku pokonanymi, lecz raczej pełnoprawnymi uczestnikami mitu.

Jednak powody, dla których obrady w Pałacu Namiestnikowskim są tak poręczne w budowaniu pewnego modelu politycznej tożsamości dla wielu członków politycznego establishmentu III Rzeczypospolitej, przesądzają jednocześnie o tym, iż ich wspomnienie nie jest istotne dla milionów zwykłych obywateli. O sile zbiorowej pamięci przesądza bowiem powszechne uczestnictwo. Tylko wspólny, zbiorowy udział w wielkich wydarzeniach, w trakcie których poruszone zostały wielkie emocje, jest w stanie zrodzić równie żywą pamięć o nich. W tej perspektywie Okrągły Stół nie mógł stać się punktem wyjścia do budowy zbiorowej, powszechnej legendy, bowiem społeczeństwo tylko biernie, przed ekranami telewizorów, obserwowało wydarzenia rozgrywające się w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu.

Wybory 4 czerwca były czymś zgoła zupełnie innym – były właśnie wielkim zbiorowym doświadczeniem. To wtedy, na bardzo krótko, poczuliśmy wszyscy radość z uczestnictwa w wielkim, zbiorowym działaniu. To dlatego do dzisiaj we wspomnieniach i relacjach z tamtej wyborczej niedzieli przewija się motyw podniosłej, świątecznej atmosfery. Następnego dnia, w poniedziałek 5

czerwca dotarło do wszystkich, że wybory okazały się wielkim, oszałamiającym zwycięstwem. Pamiętam, jak w poniedziałkowy rano gromadził się tłum przed warszawskim, solidarnościowym sztabem wyborczym, który mieścił się w kawiarni „Niespodzianka” na placu Konstytucji. W miarę, jak napływały wiadomości o skali triumfu, rosło także podniecenie, aż w końcu, gdy zza zamkniętych drzwi wyszedł ktoś, aby nakleić następny komunikat o kolejnym zdobytym przez nas w stolicy mandacie i gdy na pytanie przez kogoś rzucone o resztę kraju, odpowiedział, że wszędzie wygraliśmy tak samo jak w Warszawie, tłum uniósł dłonie w geście zwycięstwa i zaczął skandować „Solidarność” – jednak nie z zaciętością właściwą trochę rozpaczliwym demonstracjom z lat osiemdziesiątych, lecz z radością i nawet lekkim niedowierzaniem, że w końcu, po tylu latach zwyciężyliśmy.

Ta niczym nie zmałona radość trwała ledwie kilka godzin. Już wkrótce na ekranach telewizorów pojawili się przedstawiciele Solidarności, którzy zaczęli zapewniać, że nieoczekiwana skala zwycięstwa związku w wyborach nie przekreśla porozumień Okrągłego Stołu. Co dziwniejsze, z wyrazu ich twarzy można było odnieść wrażenie, że tak zdecydowana wygrana w wyborach stanowi dla nich raczej kłopot, niż powód do świętowania. W swojej książce-wywiadzie *Rok 1989* Bronisław Geremek relacjonował Jackowi Żakowskiemu, że 6 czerwca strona rządowa na spotkaniu z przedstawicielami kierownictwa Solidarności wprost powiedziała, iż w opinii części partyjnego kierownictwa „klęska listy krajowej narusza kontrakt polityczny”. Nie można było tego lepiej ująć – sens porozumień Okrągłego Stołu w rozumieniu władz sprowadzał się zatem do tego, że Partia nie może przegrać, a Solidarność nie może wygrać. Z dalszego rozwoju wypadków, gdy opozycja zgodziła się na przekazanie mandatów poselskich z listy krajowej do puli partyjnej w II turze, oraz z poparciem kandydatury Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta wynikało, że strona solidarnościowa przystała właśnie na taką interpretację okrągłostołowych porozumień. Logika kompromisu wygrała z logiką zwycięstwa; rozsądek brał górę nad uczuciami, ewolucja nad rewolucją. To dlatego tych kilka, czy kilkanaście dni czerwca 1989 roku okazało się decydujące dla stylu, w jakim zbudowano demo-

kratyczną III Rzeczpospolitą. Dość bowiem tylko wspomnieć, że właśnie tych czerwcowych dni sięgają także korzenie „wojny na górze”, której sens sprowadzał się przecież do tego, czy fundamentem nowej Polski ma być kompromis Okrągłego Stołu, wraz z jego logiczną konsekwencją, czyli pełnym włączeniem postkomunistów w nową wspólnotę, czy też raczej zbudowanie jej na solidarnościowym zwycięstwie, które dawało zwycięzcom prawo do określenia kształtu tejże wspólnoty.

Zwolennicy kompromisu podkreślają, że wybranie logiki rewolucyjnej, nawet jeśli miałyby to być rewolucja bezkrwawa, niosło ze sobą zawsze obecne ryzyko wymknięcia się procesu przekształceń spod kontroli i wybuchu przemocy tym razem już nie symbolicznej (dekomunizacja) lecz fizycznej. Siła tego argumentu brała się stąd, iż trafiał on do solidarnościowego rozumu; jego słabość leżała w tym, że ignorował solidarnościowe serca. To właśnie w tym konflikcie rozumu i serc leży przyczyna pozornej sprzeczności, którą wielu publicystów tak często dziś piętnuje. Skoro jest tak dobrze – piszą oni – skoro Polska jest wolna i demokratyczna, skoro przyjęto nas do NATO, skoro półki są pełne a złotówka mocna, to dlaczego Polacy nie potrafią się tym wszystkim cieszyć? Ano właśnie dlatego, że argumenty mówiące o korzyściach, choć przecież oczywiste, trafiają bardziej do rozumu niż do serc, a rozum ze swej natury skłonny jest bardziej do chłodnych kalkulacji niż do uczuciowych uniesień.

Wbrew stereotypowi, mówiącemu o romantycznej naturze polskiego ducha, od kilkudziesięciu już lat jesteśmy raczej narodem trzeźwych realistów niż w gorącej wodzie kąpanych politycznych marzycieli. Powstanie warszawskie nieuchronnie przekreśliło raz na zawsze mit romantycznego insurekcyjizmu. Zagłada całej stolicy, hekatomba całego, jakże wyjątkowego pokolenia, nazbyt boleśnie unaoczniała daremność romantycznych zrywów w imię wolności, w których danie świadectwa prawdzie liczyło się bardziej od politycznego rozsądku. Te resztki zaś romantycznego myślenia, które jeszcze tu i ówdzie pokutowały, zostały skutecznie wyplenione przez specyficzną, nazwijmy ją „ironiczną”, recepcję Gombrowicza, Mrożka czy filmów „szkoły polskiej”. Gdańsk 1970 czy Radom 1976 były przypadkami buntu

zrodzonego z rozpacz – Solidarność jednak stanowiła ucieleśnienie strategii zwięzłe ujętej przez Jacka Kuronia w zdaniu: „zamiast palić komitety lepiej zakładać własne”. Nawet jeśli ten wielki ruch społeczny był rewolucją, to była to przecież rewolucja pokojowa, „samoograniczająca się”. Dlatego logika kompromisu wypracowana przy Okrągłym Stole i potem zastosowana do wydarzeń 4 czerwca 1989 wpisywała się dobrze w istniejącą już od dawna tradycję politycznego działania.

Problem jednak w tym, że za pokojową formą działania kryła się zawsze pierwotna i podstawowa, w swej istocie rewolucyjna intencja, leżąca u podstaw prawie wszystkich działań opozycyjnych – intencja pozbycia się władzy komunistów, chęć obalenia systemu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że żadne narodowe powstanie nic tu nie pomoże, że dawny insurekcyjizm w stylu roku 1863 czy 1830 niczego nie wskóra – za dowód może wystarczyć dosyć umiarkowana przecież skala oporu na początku stanu wojennego. A jednak zawsze gdy tylko było można, romantyczne marzenie o obaleniu PRL-u ujawniało się z wielką siłą. Pokolenie Solidarności, by użyć określenia ukutego przed laty przez Stefana Kieniewicza do opisu dziewiętnastowiecznych pozytywistów, było pokoleniem „trzeźwych entuzjastów”.

Właśnie 4 czerwca przyszedł moment, gdy ta pierwotna, podstawowa intencja mogła się ujawnić z całą mocą. Nadeszła chwila na odrobinę romantycznego szaleństwa, na małe narodowe powstanie. To prawda, było ono skromne. Decydującą w tym starciu bronią okazały się nie karabiny, lecz wyborcza kartka, a jednak skutki tej „papierowej” rewolucji okazały się tak samo przełomowe, jakby do jej przeprowadzenia użyto karabinów. Dla milionów „realistów”, w jakich zmieniły Polaków powojenne dziesięciolecia, ów moment romantycznego szaleństwa przyszedł wtedy, gdy pomimo wezwań przywódców Solidarności do rozważy, skreślili całą listę krajową. Pamiętam starszych ludzi, którzy wychodzili z lokalu wyborczego na warszawskim Grochowie, przed którym stałem wtedy na solidarnościowym punkcie wyborczym – pamiętam jak z wyrazem satysfakcji opowiadali nam, że skreślali wszystkich, jak leci, za wszystkie te lata, gdy nie dane im było nigdy naprawdę wybierać.

Choć jednak owa czerwcową, niedzielna rewolucja była w istocie tak bardzo rozważna, tak bardzo realistyczna i cywilizowana, jej utemperowany radykalizm i tak okazał się nie do przyjęcia dla logiki ewolucji i kompromisu, który objął w swoje niepodzielne panowanie polską politykę. Solidarnościowi wyborcy przyjęli ten fakt z pewnym zdziwieniem, żeby nie powiedzieć – z przykrością, jednak znakomita większość spośród nich, tak długo przecież uczona realizmu, potrafiła uznać siłę argumentów obrońców ewolucyjnej drogi budowania wolności. Ceną, jaką zapłacono za ten wybór, było jednak rozejście się solidarnościowego rozumu i solidarnościowych serc. A przecież to właśnie sprawą serc a nie chłodnego rozumu jest świętowanie. Tak oto początki III Rzeczypospolitej pełne są punktów wytyczających kolejne etapy rozważnej ewolucji, lecz brakuje w nich wyraźnego momentu zbiorowego zwycięstwa, które mogłoby stać się aktem założycielskim nowego porządku.

Gdy zatem dzisiaj czołowi architekci tamtych decyzji wyrażają zdziwienie, że Polacy nie potrafią się cieszyć z osiągnięć roku 1989, ciśnie się na usta pytanie – czyżby nie zauważali, że właśnie z powodu obranej przez nich wtedy drogi ludzie „rozumieją”, że kompromis okazał się sukcesem, lecz zarazem nie „czują” radości ze zwycięstwa, które w imię tego kompromisu musieli poświęcić?